

Zatęgnięcie do prot. uru.
dr. Bogdanowicz z d. 6-VI 44.

44
63

W drugiej połowie lipca 1944 r. wypadki wojenne zaczęły się toczyć z błyskawiczną szybkością. Nowa ofensywa wojsk sowieckich spowodowała szybki odwrót Niemców. Przez Warszawę płynęła dniami i nocą fala wycofujących się oddziałów, wywołując zrozumiałe podniecenie wśród ludności. W powodzi plotek, jakie w tym czasie obiegały stolicę, krążyły uporczywe pogłoski o mającym wybuchnąć powstaniu. Wreszcie w dniu 1 sierpnia padły pierwsze strzały, na Woli powstanie rozpoczęło się o godz. 16.40.

Już na szereg dni przed powstaniem szpital im. Karola i Marii otrzymał, od sanitarnych władz wojskowych, instrukcje na wypadek przewidzianej akcji zbrojnej. W myśl tej instrukcji szpital miał spełnić rolę punktu opatrunkowego, skąd ranni i chorzy po udzieleniu pierwszej pomocy mieli być kierowani do pobliskich szpitali dla dorosłych. Ponadto w szpitalu miały się mieścić składy sanitarne i żywnościowe dla zaopatrzenia grup walczących na Woli.

Funkcję dyrektora szpitala pełnił w tym czasie dr Jan Bogdanowicz.

Wybuch powstania zaskoczył wiele osób z personelu szpitalnego na mieście, przyczyną tego był fakt, że mimo umowy szpital nie otrzymał zawiadomienia o terminie wybuchu powstania. Większość tych osób, prędzej lub później, stawiała się do pracy, często z narażeniem życia przedzierając się przez znajdujące się pod obstrzałem ulice. Komu nie udało się dotrzeć do szpitala zgłaszał się do najbliższych punktów i szpitali, pracy nie brakło dla nikogo.

W chwili wybuchu powstania znajdowało się w szpitalu ogółem 4 lekarzy w tym zaledwie 2 chirurgów. Z czasem szefostwo sanitarne przydzieliło kilku lekarzy do pomocy, byli to jednak przeważnie nie chirurdzy i mimo najlepszych chęci korzyść z ich pomocy była skromna. Przez długi okres czasu cały ciężar pracy spoczywał na barkach chirurgów miejscowych, dopiero po kilku dniach przybył do szpitala dr Kmicikiewicz chirurg wyrobiony i część odpowiedzialnej pracy przyjął na siebie.

Niemal od pierwszych chwil powstania zaczęli napływać do szpitala ranni, których po udzieleniu pierwszej pomocy kierowano do pobliskiego szpitala św. Łazarza. Wkrótce jednak okazało się, że szpital ten nie posiada obsady chirurgicznej wobec czego nie może przyjmować rannych wymagających większych zabiegów chirurgicznych. Stan ten wykryła przypadkowo jedna z lekarek, która udała się do szpitala św. Łazarza celem dowiedzenia się o stan zdrowia rannych, skierowanych z naszego punktu do tego szpitala. Z przerażeniem stwierdziła, że ranni, wymagający niejednokrotnie poważnych i pilnych zabiegów operacyjnych, zostali ułożeni do łóżek i o żadnej operacji wogóle nie ma mowy. Wśród rannych znajdował się szczególnie ciężki przypadek postrzału brzucha, był to 16-letni chłopiec, łącznik "Witek". Od początku powstania minęło już około 3 godzin, a chłopak był jednym z pierwszych rannych, nie było więc czasu do stracenia.

Szpital im. Karola i Marii, jako szpital wyłącznie dziecięcy, nie posiadał warunków do przyjmowania chorych dorosłych, szpital zaś Wolski był niedostępny ze względu na zabarykadowanie ulic i silny obstrzał. Wobec takiej sytuacji zdecydowaliśmy się, bez względu na związane z tym trudności, przyjmować rannych dorosłych. Niezwłocznie opróżniono kilka sal na oddziały chirurgicznym, dzieci przeniesiono na oddziały wewnętrzne, zebrano łóżka personelu i częściowo z okolicznych domów, dzięki ofiarności dobrych ludzi i tak wkrótce powstał oddział dla dorosłych.

./.

dr. Bogdanowicz

45
64

Oddział ten, w miarę napływu rannych, stopniowo rozrastał się.

Jednocześnie rozpoczęła się praca na salach operacyjnych, niekończące się pasmo operacyj otworzył "Witek" mimowolny sprawca zamieszania, który zresztą z niewielu mężczyzn, ocalał z pogromu i szczęśliwie wydostał się z Warszawy. Operowano bez przerwy i wytchnienia na dwa a często i trzy zespoły chirurgiczne, mimo to jednak ilość rannych czekających na zabieg operacyjny wzrasta niepokojąco.

Równoległe do sali operacyjnej pracowała oddzielna grupa sióstr, przygotowując materiał operacyjny i sterylizując gotowe puszki, sterylizacja szła bez przerwy dzień i noc. Wspólny wysiłek wszystkich składników skomplikowanej maszyny szpitalnej zapewnił ciągłość jej pracy.

Mijały dni wytężonej pracy, urozmaicały je od czasu do czasu nieprzewidziane zdarzenia jak ostrzeliwanie szpitala z czołgów lub bombardowanie sąsiadujących ze szpitalem ulic. Napływ rannych był znaczny, stopniowo zabrakło łóżek i ranni musieli leżeć na materacach rozłożonych na ziemi.

W piątym dniu powstania, sytuacja dotychczas znośna, pogorszyła się wybitnie. Rozpoczęło się słynne natarcie na Wołę oddziałów dywizji SS. "Herman Goering". Dywizja ta składająca się prawie wyłącznie z "kałmuków" i ukraińców, wślawiła się bestialstwem i mordami popełnionymi na ludności cywilnej, nie wyłączając kobiet i dzieci.

Po południu dnia tego został zajęty szpital Wolski, który znajdował się na linii frontu, podówczas nie widzieliśmy nic o losie jaki spotkał rannych i personel tego szpitala. Poszczególni uciekinierzy zapewniali, że Niemcy zachowali się tam "przyzwoicie".

Oddziały powstańcze, pod naporem nacierających Niemców, wycofały się powoli w kierunku śródmieścia. Szefostwo sanitarne odcinka, mimo, że stale "urzędowało" w szpitalu, opuściło go nie powiadomiwszy kierownictwa o sytuacji i nie wydawszy żadnych zarządzeń co do ewakuacji rannych.

Wieczorem przeszła przez szpital grupa lekarzy i lekko rannych ze szpitala św. Łazarza, oznajmiając, że Niemcy zajęli szpital. Wkrótce potem szpital ten zaczął płonąć, nie dochodziły stamtąd żadne głosy, panowała zupełna cisza, sądziliśmy, że rannych i chorych przed podpaleniem wyprowadzono. Płomienie zagrażały przeniesieniem się pożaru na nasz szpital do tego stopnia, że zmuszeni byliśmy zorganizować akcję ratowniczą.

Tak mijały godziny tej koszarnej nocy, w każdej chwili spodziewano się wkroczenia Niemców, pomimo to praca szła bez przerwy. Około godz. 1 w nocy zjawił się żołnierz z AK z "życzliwą" radą od swego komendanta by ewakuować rannych, gdyż na terenie szpitala rozegrają się walki. Dr Bogdanowicz, który udał się niezwłocznie do dowództwa odcinka, otrzymał potwierdzenie tej wiadomości i radę "róbcie jak uważacie". Zwołano niezwłocznie lekarzy na naradę. Sytuacja przedstawiała się następująco: w szpitalu znajdowało się około 200 rannych i chorych w tym 60 dzieci, do dyspozycji mieliśmy kilkanaście par noszy, rannych trzeba było przetransportować 2-3 klm, do śródmieścia pod obstrzałem, do świtu było zaledwie 4 godz. czasu. Po naradzie, wobec niemożliwości przeprowadzenia ewakuacji, postanowiono pozostać na miejscu, zwłaszcza, że nie wiedzieliśmy o metodzie mordowania rannych. Nadmiar personelu, który napływał w miarę zbliżania się frontu, odesłano na tyły, były to przeważnie patrole sanitarne. W szpitalu pozostała karetka sanitarna, karetkę tę wyładowaliśmy mundurami rannych oraz porzuconym sprzętem wojskowym poczym wypchnięto ją poza obręb szpitala w kierunku stanowisk oddziałów powstańczych. Przez całą noc palono

./.

Dr Bogdanowicz

46
65

w kotłowni "materiał kompromitujący" jak wojskowe torby sanitarne, mundury, opaski itd.

Nadszedł świt dnia 6 sierpnia, przed świtem dnia tego popełniła samobójstwo jedna z najstarszych i najbardziej zasłużonych pielęgniarek szpitala P.J.Sikorska, nie wytrzymując nerwowo rozgrywających się wypadków. W dniu tym szpital znalazł się pod ostrzałem artylerii i granatników, dokoła płonąły wszystkie domy, naloty powtarzały się w regularnych odstępach co pół godziny. Szpital otrzymał szereg pocisków, szczególnie ucierpiał budynek gospodarczy. W czasie tym została ciężko ranna p.M. Stobierska pielęgniarka szpitala, operowano ją niezwłocznie, niestety została ona później na terenie szpitala dostrzelona przez Niemców.

Napiływ rannych od wybuchów bomb wzrósł niepomiaralnie, rannych nie było już gdzie kłaść, leżeli oni na podłodze, na tym na czym ich przyniesiono, na kocach, płaszcach, płachtach itp. Wkrótce zabrakło miejsca na podłodze. Sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna, nie mogliśmy wszystkim wymagającym zabiegów chirurgicznych zapewnić pomocy, potrzeba by było na to około 2 dni intensywnej pracy, z konieczności ograniczono się do opatrunków i wykonywania najpilniejszych zabiegów.

Około godz. 15 wpadli do szpitala Niemcy - a raczej oddziały SS. składające się z "kałmuków" i Ukraińców pod dowództwem niemieckim. Szpital wyprowadzono w 3 grupach, najpierw wypędzono personel i ludność cywilną z budynków ambulatorium i gospodarczego. Grupa ta, składająca się z personelu lekarskiego i pielęgniarskiego, została wyprowadzona na fort Bema. Na szczęście wszyscy z tej grupy ocalili, mimo, że część została wywieziona na roboty do Niemiec.

W drugiej grupie wyprowadzono oddział chirurgiczny, na którym znajdowało się około 150 rannych mężczyzn, kobiet i kilkoro dzieci. Na oddział wpadła rozbestwiona zgraja żołdaków wygrażając bronią i rabując kosztowności jak zegarki, pierścionki, pióra wieczne itp., wtedy też zgwałcono jedną z pielęgniarek innym udało się szczęśliwie uniknąć hańby. Po pewnym czasie polecono zabrać ciężko rannych na nosze a lżej rannym iść piechotą i grupę tę skierowano ulicą Leszno i Górczewską w kierunku przejazdu kolejowego. Ponieważ noszy było nie wiele kto mógł dźwigać się z łózka i szedł w nadziei wydostania się z tego piekła, szli ranni po ciężkich operacjach brzusznych, szli w gipsach, szynach itp. - szli przeważnie boso i w bieliźnie. Personel z braku noszy zabrał tylko część rannych tak że na oddziale pozostało jeszcze kilkaset osób ciężko rannych, których nie można było zabrać. Los tych rannych nie jest wiadomy, gdyż słuch o nich zaginął, najprawdopodobniej zostali oni wszyscy wymordowani.

Dzień był pogodny i upalny, na świecie było jednak mroczno, powietrze pełne było gryzącego dymu, dokoła płonęło wszystko, żar panował nieopisany. Niesamowity ten pochód, eskortowany przez esmanów, posuwał się powoli w kierunku szpitala Wolskiego zatrzymywany przez stojące co kilkadziesiąt kroków posterunki. Co chwila zmieniano zarządzenia, to kazano rannych zostawić i iść dalej to znów zawracać do szpitala, w czasie tych postojów inscenizowano przygotowania do egzekucji ustawiając przed frontem karabiny maszynowe. Była to diabelska reżyseria i aktorzy z piekła rodem. Wyczerpywała ona do tego stopnia, że gdy podczas jednego z postojów wywołano z szeregu dr-a Kmicikiewicza i po zamienieniu paru słów zastrzelono go na oczach wszystkich, z czyichś ust wyrwało się westchnienie ulgi "chwała Bogu idziemy pojedynczo". Wszyscy byli przygotowani na najgorsze, nie było żadnych prośb, krzyków ani płaczów, jedynie pragnienie, by się to wreszcie skończyło. W czasie postoju, już w pobliżu szpitala Wolskiego, gdy czoło pochodu na polecenie

./.

[Handwritten signature]

97
66

lekarza niemieckiego skręcało do szpitala, gdzieś w ruinach i dymiących jeszcze zgliszczach rozległ się śpiew "o sole mio", to Niemcy nastavili głośnik i uprzyjemniali sobie chwile mordów i zbrodni. Wreszcie cała grupa weszła do szpitala Wolskiego, rannych zaczęto już układać do łóżek, gdy znowu, jak grom z jasnego nieba, przyszło polecenie aby rannych mężczyzn wraz z dziesięcioma pielęgniarkami i lekarzem odesłać z powrotem do szpitala Karola i Marii. Niemcy zaczęli wyciągać rannych z łóżek, wielu jednak udało się ukryć i uniknąć losu swoich kolegów. Przez szereg dni jeszcze obawialiśmy się o naszych rannych, gdyż Niemcy stale weszli po szpitalu. Rannych, których Niemcom udało się złapać (około 10 osób) musiał odnieść personel szpitala Karola i Marii. Przed szpitalem kazano rannych pozostawić a samym wejść do szpitala, gdzie była jeszcze na oddziale wewnętrznym "S" grupa dzieci z częścią personelu pielęgniarskiego i lekarzem. Ranni pozostawieni przed szpitalem zostali wymordowani.

Oddział wewnętrzny "S" znajdował się na końcu szpitala tuż przy ul. Żytniej i nie był z początku zajęty przez Niemców. Na oddziale tym zostały skupione dzieci chore (wewnętrznie i chirurgicznie) nie zabrane przez rodziców przed powstaniem. Ogółem było ich około 50, w tym 8 niemowląt. Pawilon "S" tak jak większość szpitala im. Karola i Marii, był cały oszklony (wielkie okna, przegrody pomiędzy celkami). Przy ostrzeliwaniu szpitala i bombardowaniach, a zwłaszcza gdy Niemcy tuż za szpitalem umieścili czołg i granatniki, grad pękającego szkła zaczął się sypać na łóżka z dziećmi. Wyciągnięto je czempredzej na korytarz i ponakrywano czym się dało: kocami, kołdrami, prześcieradłami itp. Wstrząsy od wybuchów i strzałów, które tak były silne, że zdawało się, iż lada chwila zawali się budynek, następowały co 3-5 minut. Przerażone dzieci krzyczały i płakały, starsze zaczęły się modlić chóralnie odmawiając swój codzienny pacierz, a potem jedno "Zdrowaś Mario" za drugim. Jedna z pielęgniarek szczotką wybijała pozostałe jeszcze resztki szyb. W tym czasie wyszła z oddziału pielęgniarka Stobierska i została ciężko ranna w nogę przed pawilonem, przeniesiono ją niezwłocznie na oddział chirurgiczny. Resztkami mieszanek nakarmiono niemowlęta i rozdzielono żywność pomiędzy dzieci. Zaczął się odczuwać dotkliwie brak wody. Ostrzeliwanie trwało nadal i jeden z pocisków niemieckich trafił w pawilon sekcyjny, tuż za pawilonem "S". Przez szpital cofnęły się nieliczne grupy powstańcze, którym wydano zapas chleba.

Wkrótce potem, choć Niemcy nie wchodzili jeszcze na oddział, usłyszeliśmy słowa komendanta atakujących Niemców. Atak ten przez szpital trwał mimo poparcia artylerii czołgu, granatników i ciężkich karabinów maszynowych cały dzień bezskutecznie. Niemcy weszli, jak to już było powiedziane, najprzód do pawilonu ambulatoryjnego, potem na chirurgię i gospodarczy - usuwając stamtąd wszystkich. Koło wieczora wbiegła na oddział "S" grupa, która przybyła ze szpitala Wolskiego z rannymi, oznajmiając, że pali się pawilon chirurgiczny wraz z pozostałymi tam rannymi. Rozpoczęto niezwłocznie ewakuację rannych, jednak już przy wyniesieniu trzeciego rannego Niemcy wygnali personel, nie pozwalając dalej ratować. Z trudem udało się uchronić przed zastrzeleniem już wyciągniętych rannych. Oficer niemiecki stał nad nimi z wyciągniętym rewolwerem, krzycząc "Alles banditen" i z trudem udało mu się wytłumaczyć, że to niby "cywilna" ludność, ofiary nalotów na Warszawę. Co się stało z pozostałymi rannymi - trudno powiedzieć. Niemcy podpalili zaraz potem inne pawilony: gospodarczy, dyfterytyczny i obserwacyjny. Powoli nadszedł zmierzch i wtedy dopiero Niemcy weszli do pawilonu "S".

.1.

as/Andacumy

48
67

Widząc stłoczone w korytarzu dzieci i niewielką grupę personelu oznajmili, że "Hitler zabronił już dalej mordować" i możemy być spokojni o życie. Na prośbę naszą dostarczenia nam żywności, w właściwie pozwolenia zabrania jej z palącego się oddziału gospodarczego - zaproponowali posłanie po nią 2-ch młodych pielęgniarek. Wobec tego woleliśmy zrezygnować z żywności.

"Kałmucy" obsadzili okna karabinami maszynowymi, jednak gdy się ściemniło cofnęli się do pawilonu ambulatoryjnego. Wychodząc zabrali olejek kamforowy w sterylizowanych słoikach do smarowania broni.

Strzelanina ucichła, tylko palące się budynki oświetlały ogród szpitalny. Wzdłuż ścian budynku "S" leżeli na noszach wyciągnięci ranni. Przybyło parę osób ciężko rannych z pogromu Woli. Jedna ciężko postrzelona matka przyniosła ranną dziewczynkę, zmarły one jednak po 2 godzinach nieprzytomne jeszcze z przerażenia, bez możliwości ustalenia kim są. Przyczółgała się też staruszka z postrzeloną nogą. Przybłąkała się skądś koza, która chodziła trop w trop za personelem, jakby bojąc się samotności. Nocą przeszedł przez pawilon żołnierz AK rozpytując o pozycje Niemców. Zza płotu od ulicy Zytnej słychać było szepem prowadzone rozmowy powstańców.

Wobec nasilającego się pożaru - obawiając się, że pożar przerzuci się na pawilon "S" wyniesiono dzieci z wielkim trudem do ogrodu. Jednocześnie zrobiono próbę przedostania się do szpitala Wolskiego na Płocką. Poszedł patrol sanitarny, ale ostrzelany już na Zytnej - musiał wrócić. Wobec ustalenia, że niebezpieczeństwo pożaru na razie oddziałowi "S" nie zagraża, wniesiono dzieci z powrotem do szpitala. Nad ranem jednak zaczęła się palić framuga okienna i część drzwi pawilonu. Bojąc się, że Niemcy (jak to zrobili z chirurgią) nie pozwolą ratować oddziału "S" - ponownie zaczęto wynosić dzieci. Naprzód część umieszczono w ogródku po prawej stronie szpitala, potem, za radą jednego z pracowników szpitala Stępnia (został on nazajutrz zabity przez Niemców) resztę na drugą stronę. Kiedy już wszystkie dzieci wyniesiono nastąpiła nieprzewidziana katastrofa.

Niemcy rozpoczęli znowu atak poprzez szpital, umieszczając karabiny maszynowe pomiędzy rannymi. Najgorzej wyszła na tym grupa znajdująca się w ogrodzie na prawej stronie szpitala. W tej grupie zginęło parę dzieci i dorosłych. Pielęgniarka Dąbrowska, sama ranna w rękę, mimo usiłowań Niemców, usunięcia jej od dzieci pozostała na miejscu, uspakajając je i opatrując. Dopiero gdy po wielu godzinach zmuszona była pójść po wodę dla rannych, zatrzymana została przez Niemców i po groźbie rozstrzelania - skierowana na Płocką. Jak ciężka była sytuacja tej grupy - świadczy fakt, że na noszach jednego z rannych zabite zostało dziecko i obok Niemiec przy karabinie maszynowym.

Po drugiej stronie budynku szpitalnego, gdzie była reszta personelu i dzieci - było trochę lepiej. I tu jednak od strażaków ranną została pielęgniarka i dziecko. Gdy od serii z automatu zabitych zostało 2-ch "kałmuków", Niemcy kazali natychmiast usunąć się ze szpitala i zegnawszy personel z tymi dziećmi, które udało się wziać na ręce i na jedne nosze wyprowadzili poza szpital - eskortując na Płocką do szpitala Wolskiego. Ponieważ zabrać się udało tylko część dzieci, pielęgniarki parokrotnie wracały pomimo niebezpieczeństwa i zmęczenia aby uratować resztę, przyniosły one paru dorosłych rannych i część dzieci. Mimo to, wobec zamieszania, wyganiania przez Niemców, ciągłej strzelaniny - część rannych i dzieci nie mogła być tego dnia zabrana. Jeszcze na drugi dzień i dni następnych doniesiono parę parę dzieci w tym jednego chłopca starszego. Chłopak ten, nie mogący chodzić na skutek przewlekłych zniekształceń poreumatycznych kończyn, zakopał się w krzaki. Tu wykrył go kałmuk i chciał

./.

go zastrzelić, zarzucając mu przedtem chustę na twarz, dziecko zdarło chustę i wtedy zbójca dał mu spokój. Z uratowanych dzieci zmarły potem wszystkie niemowlęta na zapalenie płuc i biegunki.

Po tych dniach pełnych grozy zamarł szpital im. Karola i Marii, chluba Warszawy - wspańskie dzieło ofiarności Zofii Szlenkierówny, kolebka wielu wybitnych lekarzy pediatrów. W ciągu paru miesięcy po zburzeniu szpital był czynny jako oddział dziecięcy w szpitalu Wolskim, w końcu zaś października tegoż roku, w związku z ewakuacją, został przeniesiony do Włodzimierzowa pod Piotrkowem, gdzie w bardzo trudnych warunkach pracował do stycznia 1946 r.

W chwili obecnej szpital im. Karola i Marii organizuje się w gmachu przy ul. Działydowskiej na Woli, gdzie będzie posiadał przeszło 150 łóżek. Resort Zdrowia i Opieki Społecznej zorganizował żłóbek im. Karola i Marii, całkowicie wyposażony przez Szwedzkie Towarzystwo "Radda-Barnen".

Bożena...